

Z moich wspomnień.

Dlaczego założyłem „Gazetę Grudziądzką”, jakie jej były cele?

Rychło poznawałem dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej. Przecież i szkoła pruska dawała o niej pewne wiadomości, choć tendencyjnie zniekształcone. Mimo to i uczeń szkół pruskich dowiadywał się coś niecoś o „bohaterstwach” Karola Wielkiego, Ottonów, Henryka Ptasznika, margrafa Gerona, Albrechta Niedźwiedzia i t. d. i t. d., a uczeń Polak zrozumiał niekiedy, że plemiona zachodnio-słowiańskie wyginęły, tępione ogniem i mieczem a rzadziej asymilowane środkami pokojowymi. W każdym razie — wyginęły.

Im bardziej później, na skutek zaznajamiania się z pracami niemieckich historyków, jak Popp, Obermüller, Pösche, Wersebe i innych, a później także autorów czeskich, np. Szafarzyka, i polskich, np. Lelewela, a szczególnie Bogusławskich, wśród nich przede wszystkim Wilhelma — ustalało się we mnie przekonanie, że nie tylko środkowa Europa, lecz większa część Europy wogóle, była w czasach zamierzłych, przedhistorycznych, przeważnie zamieszkała przez Słowian, dzielących się na bardzo liczne plemiona, których siedziby sięgały hen daleko za Ren, a prawdopodobnie dochodziły bardzo dawno na północnym zachodzie nawet do brzegów Atlantyku, a na południu poza Pireneje do dzisiejszej Hiszpanji i najprawdopodobniej zajmowały całą dzisiejszą Szwajcarię i całe

północne Włochy, a być może bardzo znaczną część Italji wogóle.

Gdy potem uprzytomniłem sobie, co się stało z owymi licznymi ludami słowiańskimi, a mianowicie, że stały się nawozem dla innych narodów, że na grobach licznych pokojowo usposobionych ludów słowiańskich, przeważnie tępionych ogniem i mieczem, a przy pomocy ich resztek, zasymilowanych, powstały wrogie Słowiańszczyźnie potęgi, Państwo Rzymskie Niemieckiej Narodowości, później potworna potęga pruska — dzisiejsza Rzesza niemiecka; gdy sobie uprzytomniłem, co się stało z Polski Mieszka i Bolesława Chrobrego, z Polski Piastów i Jagiellonów — wówczas lęk się zbudził w mej duszy, — w duszy dojrzewającego wtenczas młodzieńca, lęk o losy własnego narodu, a w pierwszym rządzie tej części, która wówczas pozostawała w niewoli pruskiej. Zdejmował mnie lęk, że i reszta narodu może lec pod odwiecznym naporem plemion niemieckich (Drang nach Osten) i to wpierv część, mieszcząca się na zie-

miach zaboru pruskiego, poprzez któreby potem fale zalewu niemieckiego popłynęły dalej a dalej na wschód.

Gdy później, patrząc z bliska na potworne skutki asymilacyjnej roboty pruskiej szkoły ludowej, która w pierwszych latach mego dzieciństwa uczyła



Senator Wiktor Kulerski.

jeszcze polskiego czytania i pisania, a później wszystkie uczyła już tylko w języku niemieckim — ten lęk mój przeradzał się w przerażenie, które jak zhora waliło się na młodzieńczą mą duszę. Patrzałem bowiem na to, jak miasta i miasteczka stawały się prosto piekłem polskość, w którym tonęła ludność polska, płynąca do nich ze wsi i w nich szybko się wynaradawiająca. Widziałem też, jak pozostawiająca na wsi ludność polska zatracala coraz bardziej uświadomienie pod względem narodowym i wreszcie właściwie już tylko etnicznie była — polską. Tak, że stawała się coraz łatwiejszym łupem polityki asymilacyjnej, czyli germanizacyjnej, tępicielekiej rządu pruskiego.

Pewnie, że topniejąca coraz bardziej liczba ludzi narodowo uświadomionych, owianych patriotyzmem, wierzyła — wszyscy wierzyliśmy święcie, że Polska zmartwychpowstanie, wierzyliśmy, że przyjdzie kiedyś ta wielka wojna przez wieszczów przepowiadana, która (jak to i ja, maluczki, powiedziałem, na olbrzymim polskim zebraniu kolonji berlińskiej na sali Arminhallen, zdaje się w listopadzie r. 1891) „zamieni całą Europę w straszliwy chaos, z którego to chaosu wyjdzie wolna, niepodległa Polska“.

(W tym samym czasie napisałem też broszurę p. t.: „Der nächste Krieg und die Stellung der Polen“.) Ale ta Polska wolna i niepodległa zdlawała się wtenczas być tak daleką, że patrząc na coraz szybsze postępy germanizacyjnej roboty pruskiej, widząc, jak niemczyzna się wżera coraz bardziej w ziemię czysto polską, jak stawia swe stopy coraz pewniej nad brzegiem Bałtyku, jak się szerzy nad Wartą, Notecią i Wisłą, jak pochłania z wolna całe zachodnie powiaty — duszę moją zaczęła męczyć myśl straszna, że może „rosa wyjeść qczy, zanim słońce wszędzie“.

Pewnie, że istniało trochę gazet ludowych o bardzo niewielkich nakładach, pewnie, że i książka, polska zaglądała tu i owdzie do chat, ale była to przeważnie książka, która dla uświadomienia masy ludowej pod względem narodowym niewielkie miała znaczenie.

Pewnie, że i patriotyczna część duchowieństwa, ta, która istotnie była owiana duchem narodowym, robiła co mogła, by przeciwstawić się szybko postępującemu wynaradowieniu. Na stolicy biskupiej w Pelplinie jednakże zasiadł biskup Niemiec, patriotyczna część duchowieństwa bywała w swych ruchach coraz bardziej krępowana. Z seminarjum zaczęli wychodzić germanizatorzy. Byli nawet już tacy, którzy pobierali stypendja od rządu pruskiego. Germanizatorów, protegowanych przez rząd pruski, wychodziło coraz więcej na parafje, szczególnie na te, których rząd pruski był patronem. To też i z kół duchowieństwa zaczęły się odzywać głosy obawy o losy społeczeństwa polskiego pod zaborem pruskim.

Przypominam sobie, że np. pewien ksiądz z Kaszub, zdaje się z Pucka, już nie pamiętam jego nazwiska, powiedział, że „tu (to jest na Kaszubach) za lat kilkadziesiąt wszystko będzie niemieckie i protestanckie“.

Wobec takiego stanu rzeczy, wobec szybkich postępów asymilacji, dokonywanych przez szkołę, tu i owdzie także przez Kościół, a wreszcie przez wojsko — stało się dla ludzi myślących, patrzących bystro w przyszłość, rzeczą bardzo prawdopodobną, że Niemcom prędzej czy później istotnie uda się z zaboru pruskiego uczynić cmentarzysko polskie i zasymilowaną ludność polską z jej wielce dodatnimi cechami uczynić wspaniałym nawozem dla dalszego rozwoju bujnego drzewa potęgi pruskiej — jeżeli się po stronie polskiej nie wymyśli środka na powstrzymanie działającej społeczeństwo polskie germanizacji.

I tego środka szukali wszyscy ludzie myślący, wszyscy patrioci polscy, szukałem go więc — i ja. Męczyłem swój umysł, by znaleźć sposób sypania tam, któreby nasze ziemie chroniły od dalszego zalewu niemieckiego. — Nasuwała się oczywiście myśl najbliższa, oddziaływania żywym słowem na masy ludowe. Czyniłem to więc i ja, szczególnie, gdy i w Berlinie i w kraju przekonywałem się, że istotnie słowem żywym na masy ludowe oddziaływać umiem.

— Zrozumiałem jednakże prędko, że chcąc cel swój osiągnąć, musiałbym się rozłożyć na tysiące cząstek, by móc działać wszędzie. Zrozumiałem, że trzeba na masę ludową oddziaływać nietylko raz, po raz, tu i tam, lecz że powinno się oddziaływać stale na każdą wieś, na każdą chatę w tej wsi, bo na każdą wieś i na każdą w niej chatę oddziałuje germanizująca szkoła pruska stale, z coraz większym wysiłkiem i coraz większym skutkiem, ta szkoła pruska, która niekiedy doprowadzała już do tego, że i dzieci i starzy zaczęli się chępić znajomością języka niemieckiego, co wedle mego zdania oznaczało początek — końca.

Zrozumiałem więc, że wiece, zebrania zakładanych towarzystw nie starczą, że wogóle żywe słowo nie starczy, nie mogąc być stale głoszonem w każdej wsi, w każdej chacie. Zrozumiałem, że trzeba koniecznie wymyślić coś, co by istotnie działało nie tylko w każdej wsi, lecz w każdej chacie, co by w niej było niejako strażą, któraby ploszyła zbliżającego się gada asymilacji, co by było niejako kagańcem, dającym oświatę narodową starym, a którego iskierki już w duszach dziecięcych rozniecałyby miłość do wszystkiego, co polskie i katolickie, by w ten sposób zrodziło się pokolenie Herkulesów, któreby zmięły asymilacji załlawiało, jak ich pierwowzór.

Doszedłem wreszcie do przekonania, szczególnie po pierwszych krokach w dziedzinie dziennikarstwa, poczynionych w Berlinie, zdaje się w r. 1891, gdy przez pewien czas redagowałem Załachowskiego „Gazetę Polską w Berlinie“ i gdy później w roku 1893

współpracowałem w redakcji „Gazety Gdańskiej” Bernarda Milskiego, gdy się więc przekonałem, że mam dar, także słowem pisanem silnie oddziaływać na masę ludową — doszedłem do przekonania, powtarzani —, że tym środkiem, któryby skutecznie mógł przeciwdziałać postępowi asymilacji, któryby mógł uzdolnić masę ludową do przetrwania do czasu owej wielkiej wyzwoleńczej wojny i do mającego z niej wyniknąć zmartwychwstania Polski — że tym środkiem mogłaby być gazeta ludowa, która by istotnie dotarła do każdej chaty wieśniaka polskiego.

I od tej chwili już tylko myślałem, a raczej powiem — marzyłem o tem, by tę gazetę założyć. Mówię — marzyłem, gdyż były to istotnie marzenia niejako ściętej głowy dla człowieka, który był pełen dobrych chęci, który niebotycznie umiał snuć plany — na ich wykonanie jednakże nie miał środków!

Ale pomógł — Bóg, w którego Pomoc, Opatrzność niewzruszenie, prawie że z dziecięcą naiwnością wierzyłem. W r. 1890 udało mi się w Sopocie z minimalną wpłatą, niejako na spłaty nabyć posiadłość, która już w r. 1894 stała się podstawą kredytu, który mi umożliwił założenie skromnej drukarenki w Grudziądzu. W tej to drukarence dnia 1 X. 1894 r. zacząłem wydawać „Gazetę Grudziądzką”.

Już w sierpniu tegoż roku wysłałem z Sopotu pierwszą swą odezwę do ludu polskiego. W tej to odezwie napisałem buńczuczne słowa: „Jak Bolesław Chrobry stawiał tu u nas, w pobliżu Grudziądza, słupy w Osie, by niemi znaczyć granice potęgi Państwa Polskiego i dać oparcie ludności tych naszych kresów, tak ja chcę postawić w ziemczonym Grudziądzu, w siedzibie polakożerczego „Geselligera” — słup żelazny w postaci gazety polskiej, któryby dał oparcie ludowi polskiemu całego zaboru pruskiego”.

Śmiałe to były słowa. Mogły one się nawet wydać śmiesznymi, tem bardziej, że ów „Geselliger” był istotnie Goljatem, nawet wśród prasy niemieckiej, na wschodzie, a nieurodzona nawet jeszcze „Gazeta Grudziądzka”, dopiero była embrjonem, nawet nie — niemowlęciem. Wiara moja jednakże w pomoc Bożą była niewzruszona i nieograniczona, a wiara w swe własne siły, jak to bywa u młodych — bardzo wielką, 1 X. r. 1894 wyszedł więc pierwszy numer „Gazety Grudziądzkiej”, której hasłem było: „w Imię Boże, za Wiarę i Ojczyznę”. Poszedł on w skromnym nakładzie około 500 egzemplarzy do chat ludu polskiego. Ale zacząłem gazetę wydawać istotnie z zamiarem, ba silnem postanowieniem, dotarcia z nią do każdej chaty polskiej zaboru pruskiego.

Zapewne postanowienie takie, wobec bardzo ni-
kłych środków, musiało się wydawać utopijnem, śmiesznem, tak, że kpiny nielicznych w Grudziądzu i wogóle na Pomorzu mędrkujących inteligentów mogły się wydawać najzupełniej uzasadnionymi, tem bardziej, gdy rzuciłem hasło „oświata ludu przez lud”.

Hasła tego nikt nie rozumiał i nikt nie wierzył ani w tę masę ludową, ani nie rozumiał, jaką ona może dać olbrzymią pomoc w krzewieniu elementów oświaty w szerzeniu uświadczenia narodowego wśród równych sobie. Nic dziwnego, że wobec tego niejedni uważali mnie za człowieka kwalifikującego się do Świecia, do Kochorowa — do Tworek.

Pierwsze lata zeszyły mi na szukaniu dróg, sposobów dotarcia do chat wieśniaczych, metod działania, w szukaniu pomocników wśród ludu, w który ja wierzyłem i który kochałem.

Lata te były bardzo ciężkie, tembardziej, że pomocy materialnej niebardzo umiałem szukać, a nawet szukać nie chciałem. Z własnych sił chciałem postawić ten słup żelazny, którego postawienie tak buńczucznie zapowiadałem!

Abonament rósł powoli, a choć się już w roku 1895 podwoił, w następnym roku — potroił, to jednakże koszta wydawania gazety były stosunkowo bardzo wielkie i jej byt mnie samemu się wydawał nieraz zagrożonym. Nie traciłem jednakże nadziei, pracowałem za kilku i po upływie jakichś 4 lat koszta się pokrywały.

Gdy gazeta liczyła pierwsze kilkanaście tysięcy abonentów, rzuciłem hasło: „Gonić Geselligera”, którego nakład wynosił około 40.000 egzemplarzy. Wzbudziło to wówczas znowu ogólną prawie, że wesołość, ponieważ nakład owego „Geselligera” był, jak na owe czasy nawet wśród prasy niemieckiej pruskiej dzielnic wschodnich uważany za wyjątkowo wysoki.

W kilka lat później jednakże nakład „Gazety Grudziądzkiej”, dzięki bezinteresownej pomocy ludu polskiego, istotnie przerósł abonament „Geselligera”, niebawem przewyższał go dwukrotnie, by wreszcie w roku wybuchu wojny światowej stanąć na wyżynie, która dla gazet polskich stanowi rekord, dziś jeszcze nie pobity. W tym bowiem roku „Gazeta Grudziądzka” mogła się wykazać notarjalnie stwierdzonym nakładem 128.000 z górą, w tem 115.000 abonentów pocztowych, tak, że gazeta znalazła się w każdej prawie że drugiej chacie wiejskiej zaboru pruskiego.

Zadania, cele „Gazety Grudziądzkiej” mieściły się w hasle, z jakim wyszła w świat do walki z prusactwem o prawa ludu polskiego i jego skarby religijne i narodowe: „W imię Boże, za Wiarę i Ojczyznę”, dla uzdolnienia masy ludowej do przetrwania do lepszych czasów, jak się wówczas mawiało, to jest do czasów odzyskania niepodległego bytu państwowego.

Wszystkie późniejsze hasła, jakie wydawałem i cele, jakie sobie wytyczałem, niejako oznaczały etapy na drodze do owego głównego, wielkiego, świetlanego celu, o którym marzyć nie przestawaliśmy, chociaż prusactwo przeciwko nam poprostu zaczęło szaleć. I wreszcie ten cel wielki jasno stanął przed oczami całego ludu polskiego ówczesnego zaboru pruskiego.

Głównym zadaniem „Gazety Grudziądzkiej“ było oczywiście krzewienie uświadczenia narodowego i zachowanie ludowi skarbów jego religijnych. Byłem bowiem zawsze przekonany, że religja jest nie tylko wewnętrzną naszą potrzebą, lecz także po prostu rdzeniem bytu naszego narodowego. I temu celowi poświęcałem stale całe z roku na rok rosnące, wreszcie bardzo poważne dochody, o ile one nie były potrzebne do inwestycji, celem powiększenia zakładów graficznych.

Widziałem w pierwszych zaraz latach, że rozpowszechnienie gazety napotykało na wielkie trudności, ponieważ dorastające pokolenia nie umiały po polsku czytać. Drukowałem więc w gazecie, względnie w dodatku „Przyjacielu Działy“, kartę po karcie — elementarz, podając w nim wkońcu pierwsze wiadomości z dziejów Polski, o jej królach, bohaterach. Po skończeniu elementarza w „Przyjacielu Działy“ drukowałem go później w wielkich nakładach i rozpowszechniłem go w ciągu lat, oczywiście zawsze bezpłatnie, w liczbie przeszło miliona egzemplarzy. Każdy ksiądz, każde towarzystwo, ktokolwiek się zgłaszał po taką czy inną ilość egzemplarzy elementarza, zawsze je otrzymywał gratis i franco.

Po latach, gdy czytelność gazety rozwijała się coraz bardziej, gdy gazeta doszła do 70-go dziesiątka tysięcy abonentów, rzuciłem opracowane przezemnie w więzieniu Plötzensee pod Berlinem — „Dzieje Narodu“, prześlicznie ilustrowane przez Konstantego Górskiego, jaskrawo antyniemieckie, jako bezpłatny dodatek do gazety do 70.000 chat polskich, szczęśliwy nad wyraz, że to uczynić mogłem. W ciągu lat rozpowszechniłem owe „Dzieje Narodu“ w podobny sposób, jak elementarz, w krocjach tysięcy, oczywiście także bezpłatnie.

Po „Dziejach Narodu“ poszły „Dzieje Krzyżaków“, później prześlicznie przez Konstantego Górskiego ilustrowane „Klechy i Baśnie“ Wójcickiego, krocie tysięcy śpiewników narodowych, a w ciągu lat około półtora miliona kolorowych obrazów, artystycznych reprodukcji obrazów historycznych wybitnych i najwybitniejszych malarzy polskich, które dziś wychodzą jako „Dzieje narodu w obrazach“, a które w onczas, oczywiście także bezpłatnie rozpowszechniane, były najskuteczniejszym środkiem propagandy narodowej.

Oprócz obrazów treści narodowej otrzymywali czytelnicy także dodatki obrazowe treści religijnej, które także były drukami, artystycznie wykonanymi trójbarwnie, a które dodawałem dla wyrabiania zmysłu estetycznego wśród ludu i dla usuwania bohomażów z chat.

Wszystko to wychodziło, jak to już kilkakrotnie zaznaczałem, jako bezpłatne dodatki, gdyż było to moją ambicją — dawać społeczeństwu polskiemu jak najwięcej, co przy wzrastających wielkich dochodach

wydawnictwa było możliwe. Zakłady moje graficzne w czasach niewoli trzymały się wogóle zasady, by poza gazetą, która jedna była płatna, nie drukować nic za zapłatą.

Sposób pisania, mój i współpracowników był, jak dla pisma ludowego, zawsze prosty, lapidarny, ale bardzo żywy, a wobec prusactwa zawsze bojowy, agresywny. To też ludzie mawiali, że gazeta ich pali w rękę, góły ją czytają.

Nie troszczyłem się bardzo o to, że wchodzę w kolizję z kodeksem karnym, bo wiedziałem, że asymilacji skutecznie przeciwdziałać można tylko krańcowem, jaskrawem stawianiem kwestji. Więc też i ja i redaktorzy nie baliśmy się kar, nawet więziennych, bo wiedzieliśmy, do jakich celów dążymy i że dla nich tych ofiar potrzeba.

Pamiętam np., że sam po brutalnem złamaniu przez prusactwo strejku szkolnego, wybuchłego z powodu zmuszania dzieci do niemieckiego pacierza, kiedy wśród masy ludowej po załamaniu się tego strejku ujawniła się straszna depresja, uważałem za stosowne napisać artykuł pod tytułem: „Czy Polska zmartwychpowstanie?“ W artykule tym powiedziałem między innymi, że nadejdzie czas, kiedy naród polski, jako wolny z wolnymi i równy z równymi, zasiądzie w radzie narodów.

Wiedziałem, że artykuł ten zaprowadzi mnie do więzienia, lecz go napisałem i zamieściłem w gazecie, by ludowi choć w dali, dalekiej bardzo, pokazać brzask zorzy niechylnie zbliżającej się wolności, by wlać otuchę do serc i spłoszyć gnębiącą depresję.

Propagandowe znaczenie bardzo wielkie miały w owe czasy mowy poselskie wygłaszane z trybuny parlamentarnej i potem przedrukowywane w gazetach, mowy takie, jak np. jedna z moich mów, w której prusactwu przepowiedziałem nową Jęnę, jako karę Bożą za bezceństwo, jakich się dopuszczało na społeczeństwie polskiem.

Mowy takie krzepiły ducha, bo budziły wiarę w dziejową sprawiedliwość. A mowy takie było można zamieszczać bezkarnie, a więc oddziaływać silnie na masę ludową, bez narażania się koniecznego.

Jasną jest rzeczą, że i tak kary i to ciężkie spadały na „Gazetę Grudziądzką“. Wydawca, redaktorzy, współpracownicy całe lata spędzili w więzieniu. Lecz w owych czasach wydawcy i redaktorzy polscy tych kar się nie lękali, nawet chętnie je znosili. One były bowiem dla nich odznaczeniem, orderami w owych czasach. Wierzyliśmy zresztą w to, że te nasze cierpienia są niejako także posiewem przyszłej wolności narodu.

Zaraz w pierwszych latach swej pracy wydawniczej pojąłem też, że obok uświadczenia narodowego, dla spotęgowania siły odporu wobec asymilacyjnych wysiłków prusactwa, należy dążyć do podniesienia pod względem gospodarczym społeczeństwa

polskiego i że w tym celu między innymi należy tępić pijaństwo, budzić i wzmacniać zmysł oszczędności i t. d. i t. d. Zacząłem więc dodawać do gazety bezpłatny dodatek rolniczy „Gospodarz“ i podjąłem namiętną walkę przeciwko pijaństwu.

Zrozumiałem bowiem, że gdy np. chłop co tydzień, a jak w niektórych okolicach wtenczas bywało, nawet dwa razy w tygodniu jeździł do miasta i do domu wracał pijany, to jemu z sześciu dni pracy właściwie pozostawały tylko trzy na rzeczywistą pracę. Oprócz dwu dni targowych przepadało bowiem dwa razy po pół dnia z powodu skutków nadużycia alkoholu.

Walka „Gazety Grudziądzkiej“ przeciwko pijaństwu napędzała członków powstającym bractwom wstrzeźliwości i późniejszym towarzystwom abstynentów. Publiczne spowiedzi byłych alkoholików, na ich życzenia ogłaszane w gazecie, wykazywały, jak pożyteczną była ta walka i jak czytanie gazety odводziło od pijaństwa.

Dla mnie było to zresztą rzeczą jasną, że ludzie w pierwszych fazach swego pijaństwa nietylko do karczmy chodzili, by się upijać, lecz by w karczmie, ówczesnej centrali nowinek, nowinek tych się dowiedzieć. Będąc jednakże w karczmie, zaczęli zaglądać do kieliszka i zwolna się rozpijali. Gdy zaś z gazety dowiadawali się upragnionych wiadomości, ciekawszych niż w karczmie i rzeczy pożytecznych, przestawali, o ile już nie byli beznadziejnymi alkoholikami, chodzić do karczmy.

Przypominam sobie jedną taką spowiedź, drukowaną w gazecie, w której dawny pijak stwierdzał, że, gdy gazety nie czytał, chodził do karczmy, marnował grosz, upijał się i wróciwszy pijany do domu bił żonę i dzieci. Odkąd zaczął czytać gazetę, siedzi w domu i uczy dzieci polskiego pisania i czytania. To też nic dziwnego, że kobiety, które początkowo ze względów oszczędnościowych z ukosa patrzyły na gazetę, później same ją zapisywały i książki kupowały, by męża w domu trzymać. Wobec takiego stanu rzeczy pijaństwo przed wojną światową w b. dzielnicy pruskiej prawie że zupełnie zanikło.

Wskutek zaniku pijaństwa wydajność pracy wzrastała i w społeczeństwie polskim zaczął się wzmacniać dobrobyt.

Dla spotęgowania budzącego się zmysłu oszczędności rzuciłem potem w gazecie hasło: „Składać grosz do grosza na czarną godzinę i na wykupienie choć szmatka ziemi z niewoli niemieckiej“.

To hasło dokonało wielkich rzeczy. Oszczędność ogólnie zaczęto uważać za jedną z najważniejszych cnót narodowych. I to stało się powodem, że w okresie działania pruskiej komisji kolonizacyjnej, bohaterscy chłopci i robotnicy polscy zaboru pruskiego wykupili z rąk niemieckich więcej ziemi, niż komisja kolonizacyjna jej wykupiła z rąk zanikającego ziemianstwa polskiego.

To hasło stworzyło też podstawę dla powstających później banków ludowych, które mają bardzo chlubną kartę w dziejach walki o ziemię polską.

Na ziemiach zaboru pruskiego wyrósł liczny, zamożny stan włościański, którego szeregi stale powiększał także dopływ z pośród masy robotniczej, wśród której w owe czasy nie było, można to śmiało powiedzieć, nikogo, któryby nie miał mniejszej lub większej sumy zaoszczędzonego grosza.

Jednym z ostatnich, także na jakie kilkanaście lat przed wojną światową, przeze mnie rzuconych w gazecie haseł było hasło: „Swój do swego“. Hasło to miało na celu stworzenie polskiego stanu rzemieślniczego i kupieckiego po miasteczkach, lub wzmocnienie go, gdzie, acz bardzo słaby, już istniał. Chodziło o to, by synowie włościan, nie mogący osiąść własnego warsztatu rolnego, nie pomnażali szeregów proletariatu, lecz stworzyli własne warsztaty rzemieślnicze lub sklepy i w nich, poparci przez polską wieś, pomnażali majątek narodowy społeczeństwa polskiego. Chodziło o to, by także synowie robotników, chcący stanąć na wyższym szczeblu społecznym, wyszli z szeregów proletariatu i poszli tą samą drogą. I hasło to przyczyniło się w bardzo znacznym stopniu do stworzenia jak na owe czasy i warunki względnie silnego polskiego stanu rzemieślniczego i kupieckiego, który się przyczynił do wzmocnienia żywiołu polskiego w miasteczkach, do wyrugowania z nich i z większych wiosek Żydów i Niemców i do osadzenia na ich miejscu — swoich.

Przy takiej pracy zaskoczyła „Gazetę Grudziądzką“ wojna, ta wielka wojna światowa przez nas wszystkich z utęsknieniem oczekiwana.

Dla nas bowiem wszystkich, mimo ogromnego rozmachu obrony narodowej i mimo niebywałego powodzenia także wysiłków „Gazety Grudziądzkiej“, dla nas, którzy przewodzili lub walczyli w pierwszych szeregach w tej śmiertelnej walce z gadem krzyżackim — było rzeczą jasną, że walka nasza z potworną potęgą pruską, posługującą się np. ustawą kagańcową, która postanawiała, że w r. 1925 mowa polska na zawsze miała zamrzeć na publicznych zebraniach na ziemiach naszych, posługującą się dalej zakazem polskiej parcelacji, wywłaszczeniem, prawem pierwokupu ziemi i t. d. i t. d. — ostatecznie musi się skończyć, jak się skończyła walka Słowian północno-zachodnich, jeżeli Bóg nie uczyni cudu, jeżeli nie ześle tej upragnionej przez nas najgoręcej wojny światowej i nie nada jej przebiegu, właśnie takiego, na jaki patrzeliśmy.

I Bóg ją zesłał i nad nami cud uczynił, przywrócił nam niepodległy byt państwowy! Niech za to będzie błogosławiony po wszystkie wieki.

* * *

O dziejach „Gazety Grudziądzkiej“ w czasie wojny będę kiedyś pisał na innym miejscu, gdyż opisu

ich w ramach niniejszej, bardzo pobieżnie, szkicowo napisanej pracy pomieścić nie mogę.

Jedno tylko chcę tutaj zaznaczyć: Byłem pierwszym Polakiem, który już w r. 1914 Prezydentowi

Wilsonowi zwrócił uwagę na naród polski i jego mękę i dla niego prosiłem o jego pomoc.

W grudniu r. 1914 wysłałem do niego następujący telegram:

„Prezydent Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki
Pan Wilson
w Waszyngtonie.

Panie Prezydencie! Naród polski w Królestwie Polskiem ginie w straszliwej nędzy. Los jego jest okropniejszy niż okrutny los nieszczęśliwego narodu belgijskiego. Z 10 gubernij — 9 jest przez furję wojny w najokropniejszy sposób spustoszonych. Większość miast i wiosek — to nędzne kupy gruzów, a ich mieszkańcy błądzą bezdomni po lasach, po części ginąc z głodu lub też łagodząc męki głodoweżywaniem — padliny.

Panie Prezydencie! Pod protektoratem Pańskim oraz jego mości króla hiszpańskiego utworzył się komitet międzynarodowy celem złagodzenia nędzy Belgijczyków.

Czyżby podobna rzecz nie była możliwą wobec straszliwego nieszczęścia narodu polskiego w Królestwie Polskiem?

Panie Prezydencie, w imieniu stu kilkudziesięciu tysięcy abonentów Gazety Grudziądzkiej, apeluję do łaskawego, ludzkiego serca głowy wielkiego narodu amerykańskiego i wspominając pamięć wielkich naszych ziomków, Kościuszki i Pułaskiego, którzy ongi walczyli za wolność narodu amerykańskiego, pozwalam sobie prosić jak najusilniej:

Panie Prezydencie, racz łaskawie udzielić swej pomocy nieszczęśliwemu narodowi polskiemu w Królestwie Polskiem.

Wiktor Kulerski,
Wydawca Gazety Grudziądzkiej.

Dziwne były koleje tego telegramu.

Poczta grudziądzka telegramu do Ameryki przyjąć nie chciała.

Wysłałem go więc do ambasadora Stanów Zjednoczonych w Berlinie. Ambasador telegramu jednakże, jak się później okazało, także nie otrzymał, ponieważ go władze pruskie skonfiskowały.

Mnie — z powodu wzmianki o Belgji i porównania z nią Kongresówki, jak to stwierdził Erzberger wobec Napieralskiego i później także wobec mnie — miano aresztować i odlać pod sąd za zdradę stanu.

„A przecież“ — mówił do mnie Erzberger, „żyjemy w czasie wojny i Pan chyba wie, jak takie rzeczy się w czasie wojny kończą“!

Napieralskiemu Erzberger też mówił, że rzekomo tylko on mnie od ostateczności uratował, tłumacząc miarodajnym sferom niemieckim, że aresztowanie i zasądzenie mnie mogłoby Niemcom przysporzyć tylko kłopotu wobec wielkiego nakładu Gazety Grudziądzkiej i „fanatycznego“ przywiązania czytelników do mojej osoby.

Pozostawiono mnie więc na wolnej stopie, choć niebezpieczeństwo groziło mi istotnie wielkie. Zważyć szczególnie należy, że władze niemieckie skonfiskowały telegram, wysłany do ambasadora względnie głowy państwa, wówczas jeszcze neutralnego.

Konfiskata takiego telegramu mogła dla Niemiec mieć nieobliczalne skutki, należało więc świadka tej konfiskaty — tem bardziej sprzątnąć.

Jaki był rzeczywisty powód, że tego nie uczyniono — niewiadomo...

Dowiedziawszy się o konfiskacie telegramu, wpadłem do domu, gdzie miałem kopję jego i wróciwszy natychmiast do Berlina wręczyłem kopję telegramu ambasadorowi z prośbą o przesłanie jej panu Wilsonowi.

Kilka dni później otrzymałem już w Owczarkach dobrze opieczętowany list ambasadora z doniesieniem, że jeszcze tego samego dnia telegram mój został wysłany kablem do Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Otrzymałem później także doniesienie o akcji ratunkowej w Kongresówce.

A mogę też przypuszczać, że przypomnienie Wilsonowi Kościuszki i Pułaskiego nie pozostało bez skutku na późniejsze postanowienia jego, gdy zawierano pokój.

Po wojnie, gdy zabór pruski złączył się z Macierzą, uważałem, że zadanie, jakie sobie przed laty postawiłem — spełniłem.

Masa ludowa w b. zaborze pruskim przetrwała jako polska, do czasów odzyskania niepodległego bytu polskiego. Uważałem przeto, że stałem się zbytecznym i zemną gazeta. Miałem chwilę, kiedy zastanawiałem się zupełnie serjo, czy może wydawnictwa nie zamknąć i poświęcić się innej pracy.

To też, gdy mi poruczono wytyczenie granic Pomorza, z chęcią i z rozmachem się do tej pracy

zabrałem. Zaznaczę tu tylko pokrótce, że udało mi się wyprzeć Niemców z Wisły, na której środku ich sadyła Traktat Wersalski i gdzie ich eksperci włoski i angielski koniecznie chcieli pozostawić, gdy tymczasem komisarze tychże mocarstw, w przeciwieństwie do swych ekspertów, głosowali za moim wnioskiem.

Robiłem nadzwyczajne wysiłki, by oba brzegi Wisły dostały się Polsce, ponieważ wierzyłem, że Wisła będzie kiedyś główną arterją komunikacyjną Polski.

A rozumiałem też, że Niemcy, nie potrzebując koniecznie Wisły, gdyby choć małym palcem jej się mogły uczepić, będą robiły wszystko, co tylko będzie w ich siłach, by Polsce utrudnić należyte jej wykorzystanie, urządzenie jej sobie wedle swych potrzeb.

Pierwszą więc rzeczą, jaką, gdy Międzynarodowa Komisja Graniczna Północna doszła do odcinka Wisły, jako szef Delegacji Polskiej uczyniłem — było zawieszenie w swym gabinecie wielkiej mapy, na której Wisła i jej dopływy, kanały i t. d. wogóle cały system wodny Polski, był znaczony ciemną barwą — by się odrazu każdemu rzucał w oczy.

Mapa ta bywała bardzo ciekawie oglądana przez Komisarzy koalicyjnych, którym dawałem odpowiednie objaśnienia. Wskazywałem na to, że Wisła jest całkowicie polską rzeką i kiedyś powinna się stać łącznikiem między Bałtykiem a Morzem Czarnym.

Pewnego dnia pojawił się w moim gabinecie niejaki Mister Stempel, prawa ręka Komisarza Japońskiego, który poza kiepską angielszczyzną żadnym innym nie władał językiem — a do postulatów Polski ustosunkowywał się nieprzyjaźnie. Mister Stempel, jak się okazało, był mężem zaufania finansjery angielskiej.

Mapa systemu wodnego Polski zainteresowała Mistera Stempla nadzwyczajnie. Prędko zrozumiał też, jakie znaczenie Wisła może nabrać nie tylko dla Polski, ale i dla bardzo znacznej części Europy, szczególnie północnej.

Po pewnym czasie po tej wizycie Mister Stempele zakomunikował mi wojskowy mój zastępca, pułkownik Skoryna, że Mister Stempel pragnie zemną

mówić w charakterze przedstawiciela finansjery angielskiej i że dał do zrozumienia, iż nie byłoby trudno zainteresować kapitał angielski sprawą kanalizacji wzgl. regulacji Wisły.

Nie chcąc w tej sprawie mówić z Misterem Stemplem, zanim rząd zadecyduje — czy należy z nim mówić, poleciłem pułk. Skorynie, by tę sprawę ze Stemplem prywatnie omawiał i zwlekał, zanim nie będzie decyzji rządu. Sam napisałem odpowiedni memorjał do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Zwracałem w nim na to uwagę, że gdyby się naprawdę udało kapitał angielski zainteresować — Wisłą i wogóle systemem wodnym Polski, to i plebiscyt śląski inaczejby wypadł i sprawa wileńska wówczas nie rozstrzygnięta jeszcze, inaczejby stanęła — i wogóle Anglja przyjaźniejby się ustosunkowała do Polski.

Na ten memorjał Ministerstwo Spraw Zagranicznych nigdy nie zareagowało, — to też z Misterem Stemplem nigdy urzędowo o jego projektach i propozycjach nie mówiłem.

Uważam za stosowne, przypomnieć tę sprawę dziś, t. j. w chwili, gdy sprawa regulacji Wisły wreszcie weszła na porządek dzienny.

Czy jednakże dziś kapitał angielski się tą sprawą zainteresuje, tego oczywiście niewiem.

Co do dalszych moich prac w Komisji Granicznej stwierdzam jeszcze, że w ciasnych ramach kompetencji Międzynarodowej Komisji Granicznej zabrałem Niemcom wogóle około 160 klm. kwadratowych.

* * *

Po pewnym czasie doszedłem jednakże do przekonania że, gdy skończę pracę mnie poruczoną, powinienem wrócić do pracy dziennikarskiej i zabrać się, jak dawniej krzewiłem myśl narodową — do uświadamiania masy ludowej pod względem państwowym, do krzewienia myśli państwowej. I do tej pracy przed dziewięćmi laty ochoczy się zabrałem.

Muszę jednakże stwierdzić, że łatwiej mi było za czasów niewoli uświadomić pod względem narodowym masę ludową, niż w dzisiejszych warunkach w narodzie rozkrzewić myśl państwową — — —

Wiktor Kulerski.